Fredro w Szkocji

Garelochhead w Szkocji. Dawna pocztówka.

Florian Śmieja

Kiedy nasz samolot po wielogodzinnym locie dociera do celu, ogromną radość sprawia osoba, która pofatyguje się na lotnisko, by nas przywitać. Ponieważ zdarza mi się to rzadko, twarz

Miecia na warszawskim Okęciu świeciła jak słońce po długiej, mrocznej nocy. Nie szło o duże, ciężkie walizki i niekorzystanie z nachalnych, pazernych taksówkarzy tarasujących wyjście, o wiele ważniejsze były ciepłe, pierwsze wrażenia i kontakt z człowiekiem znanym, przychylnym i pomocnym.

Mietka odwiedzałem już przed laty w Detroit. Prowadził wzorowo laboratorium. Miał swoje kłopoty, zazdrości sfrustrowanych i zazdrosnych ziomków, nieporozumienia. Niekiedy był trochę na bakier ze zdrowiem. Ale wrodzony optymizm kazał mu nie przejmować się tym wszystkim i opędzić się od tych wszystkich niemądrych rodaków i Amerykanów.

Na emeryturę wrócił do Polski. Pod Warszawą kupił sobie dom i wraz z żoną wciągnął się w życie podstołecznego miasteczka. Miękkie serce sprawiło, że wnet oboje stali się przyjaciółmi okolicznych potrzebujących. Najbardziej hojni byli dla sierot, a św Mikołaj dla dzieci niepełnosprawnych stał się dla nich tradycją i wyczekiwanym dniem.

Poznałem Mietka bodaj w 1946 roku w obozie wojskowym w Szkocji. Wojna w Europie się skończyła i aby mieć szansę na zatrudnienie i dobrze przygotować się do cywila, żołnierze zaczęli się garnąć na kursy gimnazjalne i licealne. W Szkocji w miejscowości Garelochhead, nad piękną zatoką blisko słynnego jeziora Loch Lomond, w tzw. beczkach śmiechu stacjonowało

perypatetyczne gimnazjum i liceum im. Juliusza Słowackiego.

Mietek, który chodził do niższej klasy, zjawił się jak znalazł, kiedy odchodząc musiałem zdać redakcję miesięcznika „Nasze Sprawy”. No nie była to żadna wielka rzecz, ot, kilkunastostronicowa powielana gazetka pisana na maszynie. Przynosiła różne teksty, często arcypoważne, choć kącika humoru nigdy nie brakowało. Pewnego dnia, kiedy nie było ochotnika do pracy, a do pracy społecznej, niepłatnej zazwyczaj tłoku nie ma, przyszedł Miecio i przejął redakcję. Dziś nasze nazwiska na pożółkłych egzemplarzach archiwalnych świadczą dobitnie o dawnej współpracy i zgodnie leżą w archiwum prasy polskiej wydawanej pod różnymi szerokościami geograficznymi.

Florian Śmieja (szósty z lewej na tle baraku) na obozie wojskowym w Szkocji w 1946 r., fot. arch. F. Śmieji.

Uczynność Mietka miała się najpełniej objawić, kiedy zaistniała największa potrzeba. Szkoła długo przygotowywała się do wystawienia jakiejś klasycznej polskiej sztuki. Wybór padł na Aleksandra Fredrę, chciano pokazać jego „Dożywocie". Rolę kobiecą powierzono dziewczynie, którą sprytnie wciągnięto z okolicy do współudziału. I wszystko szło dobrze, aż do momentu, w którym katecheta dowiedział się o kobiecie w szkole. Rozpętała się wielka burza. W krótkim czasie było wiele interwencji, akcji i kontrakcji. W rezultacie zapadła jednoznaczna decyzja: dziewczyna musi się wynosić i mowy nie było o tym, by miała zagrać w komedii.

Tyle więc przygotowań i nauki za jednym zamachem wzięło w łeb, z trudem wielkim klecona impreza dostała śmiertelny cios. Sprawa stała się beznadziejna. I wtedy wkroczył Miecio. Pomyślał i zaręczył, że załatwi problem. Radość zapanowała w obozie, kiedy rozeszły się wieści, że mimo wszystko sztuka będzie grana i że kobieca rola Rózi zostanie utrzymana.

Wieczorem sala była przepełniona. I to nie tylko dlatego, że lokalna miejscowość wielu atrakcji żołnierzom nie oferowała, ale że tę komedię, zapowiadaną z dawna i przez pewien czas zagrożoną, chcieli oglądać wszyscy. Główna para męskich protagonistów, Herzog i Maciejowski, zaczęła brylować na scenie z taką maestrią, że się koledzy pokładali ze śmiechu. I

wtedy pojawiła się Rózia. Najautentyczniejsza panienka, liryczna i kokieteryjna, ze swoimi niewinnymi minkami, ale i wyraźnymi insynuacjami. Ona wnet swoją kobiecą zaborczością zawojowała akcję i podbiła serca audytorium.

Nie pamiętam już, czy katecheta był na sali. Jeżeli był obecny to mógł się w pierwszych chwilach przerazić, że nie okazał się tak skutecznym młotem na heretyków, za jakiego się miał, że nie upilnował by szkoła nie była koedukacyjna. A na scenie ten głos rozlegający się z triumfem i te harce na podium.

Wreszcie ostatnia scena i nie kończące się brawa. Rozswawolona Rózia rzucała się na szyję aktorom, nie zważając na to, że była fotografowana. Niewiarygodna scena, nieprawdopodobna gra. Znakomitą Rózią okazała się być nie mniej ni więcej tylko Mieciem. Niezastąpiony, uczynny, znakomity aktor.

I tak nasz ojciec jezuita postawiwszy na swoim, stworzył nam jednopłciowy teatr jezuicki, ale jeżeli poczuł ulgę na widok chłopa w spódnicy, to może i te przebieranki nie mogły mu zbyt dobrze się kojarzyć.